

Misyonarze i seminarzyści z Wyższego Seminaryum św. Tomasza z Akwinu w Katigondo. (Zob. „Echo" Nr 4).

LIST WW. MISYONARZY Z WIKARYATU PÓŁNOCNEJ NYANZY

Do Hr. LEDÓCHOWSKIEJ,

Generalnej Kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Ojcowie Biali dają naszej Sodalicyi nowy dowód swej życzliwości. Tym razem jest to X. Biskup Streicher, Wik. apost. półn. Nyanzy, który zwraca się do naszej Gen. Kierowniczki w następującym zbiorowym liście.
Należy się Wam, kochani Dobroczyńcy nasi, abyście treść tego listu poznali i byli uczestnikami radości, jaką nas napełnił. Nie przestawajcie, prosimy Was, przychodzić nam z pomocą tak Waszą modlitwą, jak i jałmużną, inaczej bowiem nie moglibyśmy dopełnić naszych obowiązków jako pomocnic misyj afrykańskich.

Bukalassa, 1911.

Czcigodna Pani.

Misyonarze z północnej Nyanzy, zgromadzeni na drugi z rzędu Synod pod przewodnictwem swego Czcig. Wikaryusza apostolskiego, X. Biskupa Streichera, dopełnili już niemal swego zadania. Może to posłużyć za dowód, jak stopniowo wzmacnia się panowanie Zbawiciela w tej tak drogiej sercu naszemu misyi.

I jakże moglibyśmy zapomnieć w obrębie tego seminaryum, które tak często korzystało z hojnych wsparć Pani, o otrzymanych dobrodziejstwach! Tak, wywiązujemy się z miłego obowiązku oświadczając, że Sodalicya św. Piotra Klawera przyczyniła się bardzo do postępu tego zbożnego dzieła.

Jesteśmy tylko ubogimi misyonarzami, ale wyniki pracy osiągniętej, stwierdzone dziś przez zgromadzonych tutaj przełożonych i delegatów naszych 29 stacyj misyjnych, pod przewodnictwem ich Biskupa, są niejako głosem Pana Boga, dziękującego Pani w sposób dostępny za trudy, dla chwały Jego poniesione.

† *Henryk Streicher* Wik. ap.

S. Moullec
A. Grange
P. Roche
P. J. Lesbros
B. Manceau
P. Borrel
J. Laanne
L. Cadet
M. Gremeret
H. Balthazar Drost
E. Favière
M. Franco
J. M. Stéphan
P. Van Wees
J. Gorju
L. Gracy
J. Bec
L. Joire
A. Dallo
A. Wolters
L. Buffard
V. Marguier
P. Saclier
L. Védrines
J. Puel
M. Raux
A. Ramond
L. Delery
P. Bauducel
C. Dupupet
H. Le Veux
P. M. Le Tohic
A. Gramaglia
H. Robin

NOWA MISYA Św. JANA CHRZCICIELA

przez O. Bugeau, C. S. Sp.

X. Biskup Allgeyer poświęcił dnia 30 stycznia nową stacyę misyjną św. Jana Chrzciciela. Wszyscy nasi Bracia z „Kikuju" zebrali się na ten dzień w misyi św. Augustyna, by podzielić radość naszą i podnieść uroczystość chwili. Garść przyjaciół przybyła także dla dania dowodu życzliwości i pomodlenia się w intencyi nowego przedsięwzięcia.

I przyjaciele z Europy nie odmówią nam modlitwy i wsparcia. Oto dla zachęty słówko o tym nowym posterunku.

Stacya św. Jana Chrzciciela, oddalona o 5 mil od naszej misyi, znajduje się w dolinie „Lilota", naprzeciw wsi Kenyandyniego, jednego z głównych naczelników Wa-Kikujów.

Dolina ta należy do najbardziej zaludnionych, niegdyś liczyła się do najpiękniejszych. U wnijścia pozostały jeszcze tego ślady. Przed dwoma laty zaledwie był to olbrzymi trawnik, rozciągający się w cieniu lasów. Teraz, niestety, widzi się pospolitą równinę; lasy wycięte zastępuje kukurydza, pa-

lona od słońca, lub proso, albo niekształtne pnie drzew, leżące na ziemi. Przedewszystkiem wiele tu mieleszy, w których kawałki drzewa wypalają się na węgiel, pokrywając gęstym, gryzącym dymem przechodniów. Odkąd Kikujowie znają cenę węgla drzewnego, każdy z nich radby być węglarzem. Pierwszy owoc cywilizacyi! a nietrudny do osiągnięcia, bo murzyn ma szczególne powołanie do węglarstwa. Poczernić się nie może, wycinać zaś, karczować, niszczyć, to — jego ideał; siedzenie przy ogniu to — życie, a zarobek także — nie do pogardzenia. Dalej nie patrzy i nie widzi, że okolica staje się pustkowiem i klimat się pogarsza, że wycinać a nie sadzić to — gotować sobie, a szczególnie dzieciom swym nędzę; gdy jego nie stanie, niech się dzieje, co chce. Dolina Lilota ucierpiała wskutek najścia węglarzy, dlatego najwięcej, że należy do najbardziej zaludnionych.

Najpierw Kenyandyni ma tu swą siedzibę. Tu przebywa ten patryarcha, posiadający sto żon i olbrzymie stada. Jego tylko rezydencya mogłaby stanowić wieś znaczną. A nie należy pominąć otaczających go cudzoziemców, ulubieńców, pochlebców, (pochlebstwo w tych stronach nie jest towarem zagranicznym), intrygantów, liczących na znaczenie naczelnika u rządu, ludzi miernej ambicyi, którym wystarcza odblysk cudzej chwały, młodych libertynów, mających w tym potężnym poganinie rodzaj osłony przed wpływem misyonarzy. Nie brak też i gości, przybywających w sprawie procesów, co wymaga zaraz pobytu tygodniowego, (wszakże musi być pozór zarobku pięciu rupii przez naczelnika!) Są też i pieczeniarze, których wabi gościnność bogacza. Ludzie ci nie ciężą na jego kieszeni, a tem mniej na sumieniu jego.

Ruch ten powiększają karawany, transporty baranów, oddziały wojsk tubylczych, które krążą na drodze rządowej między Nairobi a Dagoretli, ciągnącej się tuż koło wsi naczelnika.

Cała dolina Lilota jest zatem ważnym punktem. Liczne ścieżyny wiodą do niej ze wszystkich stron, a w dnie tańców zdążają tu setki młodzieży.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dawaj potrzebującym, aby przypadkiem ten, któremu nie dasz, nie był Chrystusem.

(Św. Augustyn).

Kto się lituje nad ubogim, ten Panu pożycza na lichwę.

(Sir 13).

ABISSYNIA I ABISSYŃCZYCY.

CZARNE KWIATY.

Różne szczegóły o Abissynii i jej mieszkańcach.

Przez O. Józefa Baetman'a, misyonarza Lazarystę.

XXV.

Zakończenie.

Jeszcze raz mówię do moich kwiatków: „Lećcie, lećcie między ludzi, bo zadaniem kwiatu jest niesienie woni, radowanie wzroku, przygotowywanie owocu.“

Lećcie! może w duszy dziecka, które was zobaczy, zasiejecie pragnienie apostolstwa między braćmi czarnymi, może obudzicie w nim powołanie na misyonarza...

Lećcie! może się dostaniecie w ręce młodej istoty, któraby chciała czynić dobrze, chciała pracować dla zbawienia innych, ale nie wie jak. Lećcie do niej i powiedźcie jej coprędzej o istnieniu Sodalicyi św. Piotra Klawera, w której mogłaby zostać misyonarką-pomocnicą dla Afryki. Jeśli te słowa dostaną się rzeczywiście do rąk tych, które szukają, chwieją się i nie mogą się zdecydować, to niech im posłuży jeszcze jedno opowiadanie, które znalazłem w *Rocznikach Dzieła św. Franciszka Salezego.* *)

Opowiadanie to ma wiele uroku, a doświadczenie uczy, że podobnych kwiatów nie brak nigdy w Kościele. Zawsze są między dziećmi tego Kościoła dusze gorące, ofiarne, gotowe poświęcić Panu Bogu wszystko, a nawet życie. Nic dziwnego, że po przeczytaniu kilku listów misyonarzy, dusze takie nie mogą powstrzymać westchnienia: „O, gdybym mogła zostać misyonarzem!“ Dusze takie istnieją, ja sam znałem niektóre, Pan Bóg zna je wszystkie. Otóż jeśli te słowa dotrą do nich, to niech posłuchają mej rady. Ja im ukażę sposób, w jaki mogą zostać „misyonarzem“ tak jak Marya-Ludwika została „księdzem“, aby z siebie złożyć ofiarę. To dzieło, o którem była mowa, ta Sodalicya św. Piotra Klawera obrała sobie za hasło: *„Najbardziej Boską ze wszystkich rzeczy Boskich jest praca dla zbawienia dusz.“* — Hasło to wam odpowiada zapewne, dusze pełne świętego zapału, a ponieważ wśród wa-

*) Opowiadanie to przytoczone w *„Wezwaniu Bożem“*, obrazku dramatycznym pióra O. Baetmana. Do nabycia w filiach Sodalicyi św. Piotra Klawera. *(Przyp. Red.).*

szego otoczenia nie macie nikogo, komubyście mogły powierzyć swe myśli, bo być może, spotkałybyście się z uśmiechem politowania, zwróćcie się do Sodalicyi św. Piotra Klawera, idźcie stanąć do pracy razem z temi świętemi duszami, które się oddały niesieniu pomocy murzynom i misyonarzom afrykańskim. Czeka na was poświęcenie złączone zawsze z ubóstwem, doskonałą czystością, posłuszeństwem, opuszczeniem rodziny i ojczyzny; czekają na was upokorzenia, może prześladowania, wobec których nie znajdziecie zrozumienia ani u rodziny, ani u świata; czeka na was praca ustawiczna i męcząca, a wkońcu — i to będzie może najcięższe: pozbawienie wszelkiej pociechy zewnętrznej. Ludzie rozumieją i podziwiają poświęcenie misyonarki, która idzie w głąb Afryki, aby uczyć dzieci i pielęgnować trędowatych, nawet niewierzący mają cześć dla niej... ale wasze zadanie ma być inne. Bądźcie oddane pracy od rana do wieczora, pracy propagacyjnej, pisaniu artykułów, poprawianiu druków, tłómaczeniom, prowadzeniu korespondencyi, wysyłaniu paczek, ekspedycyi pism, a zawsze w cieniu i cichości; doprawdy w życiu takiem, świat nie znajdzie heroizmu. A przytem, powtarzam raz jeszcze, braknie pociechy, jakiej doznaje misyonarz, bo życie misyonarki-pomocnicy ma upłynąć w pracy dla tych, których nie widzi, którzy są z dala od niej. W tem co mówię, niema przesady, mówię prawdę, prawdę rzeczywistą — to jest praca, która na was czeka... apostolstwo, które wam Pan Bóg chce powierzyć! Jeśli was ono przeraża, jeśli tracicie odwagę, to — napróżno; lecz, jeśli Pan Bóg złożył w waszej duszy pragnienie zaparcia się siebie, jeśli w sercu kiełkuje powołanie, to idździe za niem! Nie nalegam więcej, jesteście dzielne, macie serce, nie boicie się poświęcenia, a ono wam z pewnością życie rozweseli i opromieni. Zwróćcie się więc do zarządu Sodalicyi, skąd otrzymacie dalsze wskazówki. A ja wam jeszcze raz powtórzę, że postąpicie dobrze, że staniecie się „misyonarkami“ i że złożycie siebie w ofierze za zbawienie dusz, tak jak mała Marya-Ludwika.

Wkońcu zwrócę się jeszcze do Szanownych Czytelników z dwiema prośbami: dajcie mi jałmużnę i módlcie się za mnie. O jałmużnę proszę dlatego, że głód sroży się w tym kraju i kosi ludzi w sposób okrutny; o modlitwę proszę, ponieważ misyonarz potrzebuje siły, odwagi i zdrowia, żyjąc wśród warunków, które go wycieńczają. Tak! módlcie się za misyonarza, bo ma on życie naprawdę twarde. Módlcie się za niego, aby go nie zjadło zniechęcenie, aby nie dobiła utrata sił... módlcie się za niego!

Misyonarz zaś nie zapomni o Was. I nie mówcie: „Misyonarz nie ma serca, gdyby miał serce, nie byłby porzucił ojczyzny, nie zostawił matki we łzach....“ i t. d. — ja Was

mogę zapewnić, Szanowni Czytelnicy, że misyonarz ma serce i to głęboko czujące serce, bo musiało się ono wyrzec uczuć przyrodzonych, aby mogło się oddać tym, których pragnie zbawić. I to serce umie być wdzięczne. Wdzięczność ta jest ustawicznie żywa i czas jej nie osłabia... a ten Bóg miłosierny, który się utaił w ubogim abissyńskim kościele, słyszy często modlitwy, widzi ofiary misyonarza... za krewnych, przyjaciół i dobrodziejów. To nietylko — obowiązek, ale — i pociecha.

Korespondencya misyjna.

Z Wikaryatu apost. Erytrei.

JE. X. Biskup Carrara, z zakonu OO. Kapucynów, gorliwy Wikaryusz apostolski Erytrei, w liście do naszej Generalnej Kierowniczki daje krótki wykaz najniezbędniejszych potrzeb swej ubogiej misyi i zmian, jakie pragnie przedsięwziąść w celu rozwinięcia jej zbawiennej działalności.

I. Bezzwłoczna reorganizacya niższych zakładów naukowych. — Misya utrzymuje dwa małe seminarya, jedno w Cheren, drugie w Acrur. Celem ich jest wychowywanie i kształcenie młodych krajowców, którzy pragną poświęcić się stanowi kapłańskiemu. Seminaryum w Cheren liczy obecnie 25 wychowanków, zaś w Acrur mamy ich 20. Oba te zakłady domagają się reorganizacyi pod każdym względem. Ograniczając się do kwestyi ekonomicznej, powiedzieć muszę, że wychowankom naszym, tak w Cheren, jak w Acrur, brak jest najniezbędniejszych rzeczy; mieszkanie za szczupłe; w sypialniach brak łóżek; niedostatek kompletny książek do nauki. Należałoby wszystkich naszych wychowanków zgromadzić w Cheren, czyli utworzyć jedno porządne seminaryum. Największą ku temu przeszkodą jest brak pieniędzy na przedsięwzięcie robót w celu zużytkowania tamtejszych starych budowli.

W Asmarze mamy ochronkę dla sierot obojga płci. Wychowuje się tu około 40 chłopców i tyleż dziewczynek, nie licząc kilku dorosłych.

Dom zamieszkiwany przez Siostry, a w którym jednocześnie mieszczą się szkoły dla przychodnich, żłobek i szkoła dla dzieci krajowców, nie odpowiada swemu przeznaczeniu. Koniecznem było zorganizowanie dwóch oddziałów: męzkiego i żeńskiego, i przeprowadziłem to. Ale okazało się, że, w tych warunkach nie obejdzie się bez niektórych drobnych zmian w budowie domu; także trzeba było ukończyć zbiornik wody, którego nieodżałowany O. Michał musiał w połowie zaniechać dla

braku środków. Zabrałem się więc do dzieła i dziś jest to już dokonane, a inne roboty postępują. Mam niezachwianą ufność w Opatrzność Bożą, że ześle mi środki, abym mógł uiścić się z długów, które zmuszony byłem zaciągnąć na pokrycie tych wydatków.

Również w domu sierot w Cheren nie dało się jeszcze dotąd oddzielić zupełnie dziewczynek od chłopców; brak i tam książek, stołów, łóżek, jednem słowem największe ubóstwo. Musiałbym się powtarzać ustawicznie, gdybym chciał odmalować stan wszystkich innych naszych przytułków, jak np. w Adi-Ugri, Acrur i t. d.

II. Wznowienie pracy w naszej drukarni w Cheren, która już nie funkcyonuje od wielu lat. Domaga się tego i podniesienie uroku naszej misyi. Ponieważ Asmara jest stolicą kolonii i rozwija się coraz bardziej, postanowiłem tam przenieść drukarnię. Byłoby jednak lekkomyślnem puszczanie w ruch drukarni, nie zapewniwszy przedtem na ten cel potrzebnych kapitałów. Koszta instalacyi są znaczne; dalej niektóre stare czcionki są już nie do użycia i trzebaby je zastąpić nowymi; innych znów jest za mało. Musielibyśmy więc zakupić pewną ilość czcionków. Także prasa drukarska wymagałaby naprawy.

III. Inicyatywa w pracy około rozwoju rolnictwa. Zewsząd w kolonii podnoszą się skargi przeciwko misyonarzom, że nie uprawiają racyonalnie ziemi, powierzonej im, czy to przez rządy odnośne, czy też przez osoby prywatne. Zmuszony jestem uznać, że skargi te nie są bez podstawy; rolnictwo zostało rzeczywiście zaniedbane. Nie brak nam dobrej woli, aby podnieść tu rolnictwo, ale to nie wystarcza; trzeba nam do tego jeszcze odpowiednich urządzeń i przyrządów; trzeba przedewszystkiem studni, aby nie brakło wody podczas suchej pory roku, tak w Chinarze, jak w ogrodzie w Dakri, w ogrodzie Sióstr w Cherenie, w naszej małej posiadłości koło Asmary, i w ogrodzie w Adi-Ugri; potrzeba także kilku elewatorów, by módz czerpać wodę ze studzien.

Wykopanie małego stawu w Chinarze wymagałoby kilku tysięcy franków; mając taki zbiornik wody, zamienilibyśmy całą tę okolicę w prawdziwy ogród. Na zakończenie trzebaby wybudować tam jeszcze kilka chat w celu założenia małej kolonii rolniczej krajowców, którą zaludniliby dawni wychowankowie różnych naszych tutejszych zakładów. Ale zasiłki otrzymywane przez naszą misyę, stanowczo nie wystarczają na przeprowadzenie tych wszystkich planów.

Z tych kilku wyżej przytoczonych szczegółów widzieć się daje, jak bardzo jest uzasadnioną troska o finansową stronę mej biednej misyi. Jeśli nie znajdę dobroczynnych dusz, któreby mi przyszły w pomoc, to nie tylko nie będę mógł przedsię-

wziąć tych wszystkich nowych prac, które aż proszą się, aby rękę do nich przyłożyć, ale jeszcze nie wiem, jak podołam obowiązkowi utrzymania i reorganizacyi tych instytucyj, które tu zastałem.

WIKARYAT AP. KIMBERLEY (BECHUANALAND).

NA PUSTYNI.

(List O. Porte O. M. I.).

Niewolnicy. — Jakich trzeba nam misyonarzy dla dzieci pustyni? — Wielbłądy. — W braku czego dusze giną?

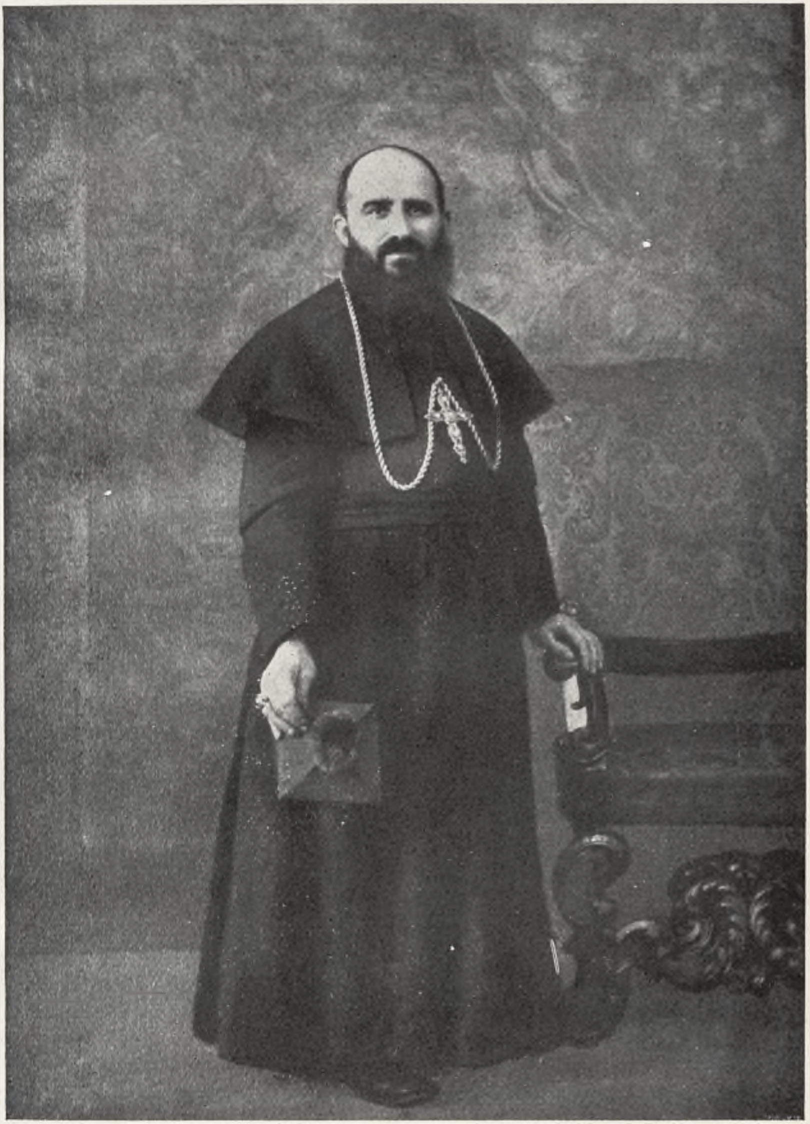
Odbyłem podróż wśród pustyni dla zwiedzenia dwóch oaz Garresy i Marokwengu. Podróż ta trwała 21 dni, gdyż piasek głęboki, a woły powoli się posuwają. Bądź co bądź, przebyliśmy blizko 500 kilometrów. W tych oazach mamy kilku chrześcijan, niegdyś uczniów mojej szkoły. Przyjąłem katechumenów, kilka osób ochrzciłem i udzieliłem Komunii wielkanocnej.

Oprócz mieszkańców oaz, jest wielu na pustyni niewolników, poddanych tamtym, będącym ich panami. Niewolnicy ci pilnują bydła i pracują dla swoich panów. Roli nie uprawiają, żywią się tylko korzeniami, melonami dzikimi, zwierzyną i mlekiem trzód swoich. Nie są oni niewolnikami w znaczeniu ogólnem tego słowa, gdyż nikt ich nie sprzedaje, żyją jednak w poddaństwie i są zwierzętami jucznemi panów swoich. Czasem dzieci rozłączone bywają z rodzicami i oddawane przyjaciołom. Ja sam mógłbym mieć takie podarki, ale cała trudność, to zatrzymanie tychże, gdyż Bechuanie uważają się za panów, nie łączą się z niewolnikami, nie dzielą z nimi ani mieszkania, ani pożywienia i nie zawierają z nimi związków małżeńskich.

Z upragnieniem czekam dnia, gdy Oblaci Maryi Niepokalanej będą w możności przysłania jednego, lub dwóch Ojców w towarzystwie kilku Braci do jednej z tych oaz pustyni Kalahari. Misyonarzom tym trzeba mieć serca złote, zdolne do wszelkich ofiar, a żołądek strusi, całe pożywienie bowiem składa się z mięsa i roztartej kukurydzy. Ale ci Ojcowie, gdybyśmy mogli nadewszystko dostarczyć im kilku tęgich wielbłądów, zanieśliby Ewangelię dzieciom pustyni.

Policya od Przylądka do Morokwengu utrzymuje wielbłądy dla patrolów pustyni. Zwierzęta te przyjmują napój tylko raz na tydzień, a mogą dźwigać, oprócz jeźdźca i jego ładunku, jeszcze i wodę mu potrzebną w skórzanych naczyniach.

Dnia tego przyzywam całą siłą pragnień moich i ufam, że zanim umrę w Afryce, oglądać go będę na własne oczy.



Ks. Biskup Kamil CARRARA, Kapucyn, Wikaryusz ap. Erytrei.

Trzeba nam tylko kilku ludzi pełnych poświęcenia, a nadto trzeba nam środków. Ale Opatrzność Boska wejdzie w to w swoim czasie, jak to czyniła zawsze.

Ani jedna skóra lwa, lub pantery, ani jedno futro kuny, lub lisa, ani jedno pióro strusie padając, nie ginie na pustyni; zawsze znajdzie się biały awanturnik i chciwiec, co je podniesie, a dusze biednych Balalów, niewolników.... dusze giną z powodu braku środków. *Mitte Domine operarios in messem tuam.*

Sudan Egipski.

(Synowie N. Serca Jezusowego).

Przewielebny X. Biskup Geyer przesyła naszej Generalnej Kierowniczce bardzo pocieszające sprawozdanie ze stanu swej misyi.

„Misya nasza nie jest wprawdzie Ugandą, ale rozwija się wedle swych środków i możności.

Oto kilka dowodów tego rozwoju: Kiedym tu przybył przed siedmiu laty, znalazłem zaledwie jednego chłopaka umiejącego „Ojcze nasz“, teraz zaś jest już 10—15, którzy przystępują do Komunii św. w każdą niedzielę i święta. Zeszłej niedzieli urządziłem generalną Komunię św. dzieci, stosownie do rozporządzenia Najwyższego Pasterza w tej kwestyi. Dziewiętnaścioro dzieci, przedtem już starannie do tego aktu przygotowanych, przystąpiło po raz pierwszy do Stołu Pańskiego; prócz nich 26 częścią dziewczynek, częścią chłopców, przyjęło tego dnia Komunię św. Ten pocieszający rezultat naszej pracy zawdzięczamy szkołom, bez nich bowiem ani gromadzić dziatwy, ani jej nauczać nie mielibyśmy prawie możności. Szkoła chłopców liczy 82 uczniów, szkoła zaś dziewczynek, którą prowadzą Siostry zakonne — 106 uczenic. Przygotowaliśmy murzynów do obchodu uroczystości św. Piotra Klawera, urządzając dla nich misyę. W dzień święta przystąpili wszyscy, z wyjątkiem dwóch, do św. Sakramentów.

Obecnie urządzamy misyę dla mieszkańców Omdurmanu, należących do ludów Wschodu; gdy ją ukończymy, przyjdzie kolej na misyę osobno w języku angielskim, a osobno we włoskim dla mieszkańców tejże kategoryi tutaj. Z powodu różnicy języków, koniecznem jest urządzanie misyj osobnych kilkakrotnie. Misye takie, powtarzające się od czasu do czasu, są potężnym bodźcem dla chrześcijaństwa i zachęcają do częstego przystępowania do Sakramentów św. Usiłujemy też zyskać wpływ niejaki na mahometan przez nasze szkoły i instytucye miłosierne. Osobne apteki rozdają tysiącom ubogich chorych i kalek bezpłatnie lekarstwa.

W misyi naszej założyliśmy specyalny klub wojskowy wyłącznie dla angielskich żołnierzy. Też same instytucye, choć na mniejszą skalę, istnieją w Omdurmanie, Hałfai, Port-Sudanie i Annanie.

Poza tymi stałymi centrami, mamy jeszcze 23 posterunki mniejsze, w których służbę Bożą odprawiają po kolei wędrujący od jednej do drugiej misyonarze.

Najurodzajniejszem polem dla nawróceń jest południowa część kraju, zamieszkała przez pogańskich murzynów. Na nich to budujemy nadzieje nasze największe. Wprawdzie trzeba tam jeszcze zasiewać ziarno słowa Bożego, lecz nasienie kiełkuje bujnie i wydaje kwiaty, po których wiele się spodziewamy.

W Zulu i Attigo, zamieszkanych przez murzynów Schiluków (niedawno ich odwiedzałem), jest wprawdzie tylko 10 neofitów, ale liczba katechumenów, regularnie uczęszczających na naukę, przechodzi 200; a nie biorę tu w rachubę tych, jeszcze od nich liczniejszych, któćzy mniej regularnie się stawia. Mamy około 100 już dostatecznie przygotowanych na przyjęcie Chrztu świętego, lecz nie spieszymy z udzieleniem tej łaski jeszcze, aby Sakrament ten uczynić im bardziej pożądanym.

Z łatwością mógłbym przytoczyć tu wzruszające przykłady walk wewnętrznych, jakie ci poganie w imię zbawienia wiecznego staczać muszą, aby zwyciężyć wzgląd ludzki i uczynić stanowczy krok ku wierze chrześcijańskiej.

Jest to czas łaski, a więc i czas modlitwy. Z pomocą Bożą ujrzymy tu wprędce kwitnące gminy chrześcijańskie. Plemię Schilluków silnie zbudowane, a noszące się dumnie, liczy przynajmniej 300.000 dusz. Cóżby to był za wspaniały wzrost naszego Kościoła świętego, gdyby plemię to na jego łono przeszło! Owoce łaski Bożej dojrzewają także w pomniejszych stacyach: w Wan, Kayango, Cleveland (Nbili) i Bahr el Ghazal.

W tym roku stworzono 6 nowych posterunków katechizacyi. Mieszkańcy wsi gromadzą się w niektórych chatach dla wspólnych modłów i nauki religii. Raz na tydzień odwiedza ich misyonarz i ma w ten sposób oko na te ich zgromadzenia. Liczba katechumenów dochodzi przeszło 500. Kilku naczelników zgłosiło się już prosząc, abyśmy udzielali nauki religii ich poddanym Uczynimy zadość ich żądaniu, jak tylko będziemy mieli dostateczną liczbę katechistów krajowców odpowiednio przygotowanych w wyżej wymienionych stacyach.

Kościół katolicki zapuści korzenie wśród pogan w naszym wikaryacie, zaiste nie siłą pary lub elektryczności, ale z pomocą Bożą i dzięki wytrwałej a racyonalnej pracy. Nadzieje te nasze na silnej oparte podstawie.

W skład pracowników wikaryatu wchodzi 33 Ojców, 26 Braci, 46 Sióstr zakonnych i 7 krajowców katechistów.

Drobne wiadomości misyjne.

O. Teixeira, Franciszkanin, pisze z misyi św. Jana Bożego z Homoine:

„Mimo tak ciężkiej pracy i tylu ofiar, zmuszony byłem opuścić misyę św. Józefa w Mongué, gdzie rząd zamierza utworzyć szkołę przemysłową, oczywiście świecką! Trudno wyobrazić sobie, z jakim bólem to uczyniłem i ile przecierpiałem! Przybyłem więc tu do tej nowej misyi, i nie wiem dotąd, czy rząd udzielać będzie jakichkolwiek zasiłków misyom. Osiadłem dość daleko w głębi kraju i pracuję tu, oczekując, co Opatrzność Boska względem nas postanowi.

Opuściłem Mongué obarczony 2000 fr. długu. Dług ten zmuszony byłem zaciągnąć dla przeprowadzenia ulepszeń przedsięwziętych w tej misyi. Prosiłem o jałmużnę u mych przyjaciół; nie umiem wyrazić, ile mnie ten krok kosztował! Żyję w tak wielkiem ubóstwie, poświęciłem wszystko sprawom mej misyi i teraz jeszcze zmuszony jestem prosić o jałmużnę, aby módz spłacić wszystko. O, gdyby Pani mogła mi przysłać jakoweś wsparcie, z głębi serca byłbym Jej za to wdzięczny! Część naszych chrześcijan z Mongué przybyła tu do naszej nowej misyi; można się spodziewać, że i reszta pociągnie za nimi. Nikt nie potrafi wyobrazić sobie, jak cierpiałem. Ale za ten ból i ciężkie próby niech będzie chwała Panu Bogu!

Polecam moją duszę, pogrążoną w smutku, modłom całej Sodalicyi św. Piotra Klawera, a w moich niegodnych modlitwach też pamiętać będę."

Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Wiedeń, *25 lutego.* — W „salach kwiatowych" Towarzystwa ogrodniczego urządziła Sodalicya wspaniały *bazar afrykański*, który trwał tylko jeden dzień, ale ściągnął niezwykłą liczbę gości i uwieńczył znakomitem powodzeniem wszystkie trudy podjęte około jego urządzenia. Protektorat objęła Arcyksiężna Krystyna, zaszczycając uroczystość kilkugodzinną obecnością. Oprócz wysokiej Protektorki uczestniczyli w Bazarze: Arcyksiężna Marya Anuncyata, Arcyksiążę Piotr Ferdynand z synem i córką, Arcyksiężna Blanka z córkami, Arcyksiężne Marya Walerya i Elżbieta, Arcyksiężna Alicya, W. Księżna toskańska z trzema Arcyksiężniczkami, Arcyksiążę Maksymilian, Kiężna J. J. Saksońska, Książę August koburski ze swą Małżonką, Arcyksiężna Karolina, Infantka hiszpańska Izabella i wielu innych dostojnych gości dworskich.

Szczególną uwagą cieszył się „pawilon Madagaskaru", w którym Sodalicya wystawiła na sprzedaż wyroby Malgaszów. Od najprostszych plecionek do najdelikatniejszych robót z cieniutkiego łyka, które łudząco przypominają surowy jedwab, wszystko cieszyło się uznaniem widzów. Na drzewie afrykańskiem i tkaninach drzewnych, widniały barwne sceny z życia

murzynów. W osobnym pawilonie zestawiono wydawnictwa, dotyczące misyi w Afryce i książki w narzeczach murzyńskich. Wystawa strojów z Tananarywy wabiła publiczność, a próbki „rybołówstwa“ w „Zambezii“ i „Wiktoryi Nyanzy“, malownicza „oaza Sahary“ i wiele innych szczegółów, które pomijamy, dopełniły całości. Bazar ten powiódł się, dzięki ofiarności dobroczyńców, pod każdym względem.

Kraków, *9 marca.* — Ku większej chwale Bożej, ku zbudowaniu obecnych i ku pożytkowi nieszczęśliwych dusz naszych czarnych braci, odbył się w filii krakowskiej odczyt W. Ojca Hankiewicza T. J., misyonarza z nad Zambezy. Towarzysz trudów i znojów W. O. Hillera, misyonarz z powołania, znalazł W. O. Hankiewicz wśród swych rodaków słuchaczy chętnych i wdzięcznych. Za mała była nasza salka konferencyjna, aby pomieścić zespojone jednym duchem grono, które z całą uwagą słuchało przeszło godzinnego, interesującego przemówienia Wiel. O. Misyonarza. W. O. Rejowcz T. J., W. X. Dr Kulig, p. Fedorowicz, hrabianki Andrzejówne Potockie, hrabianki Tyszkiewiczówne, p. Czorba i liczne Zelatorki i Dobrodziejki Misyj uczestniczyły w zebraniu.

Ufamy, że przyniesie ono jeszcze w przyszłości owoce, że się one nie skończą na tej materyalnej pomocy, która wpłynęła z okazyi zebrania do skarbonki misyjnej, ale że ten duch apostolskiej pracy, który owionął szanownych słuchaczy, pójdzie z nimi w życie, że sobie nieraz jeszcze przypomną, jak to żyją i pracują misyonarze w Afryce i że o 700 mil od nas, na południe, biją serca Polaków-Misyonarzy z Towarzystwa Jezusowego, którzy zakładają misyę polską.

Monachium. — W *sobotę d. 16 marca* odbyło się w Filii Sodalicyi przy ul. Tureckiej 15, otwarcie i poświęcenie *wystawy aparatów i przyborów kościelnych* dla misyj afrykańskich. Poświęcenia dokonał X. Arcybiskup Franciszek Bettinger, poczem nastąpiło przemówienie X. Proboszcza Stipbergera. Po dokonanem poświęceniu wystawy, udzielił X. Arcybiskup licznie zebranym zelatorom i zelatorkom arcypasterskiego błogosławieństwa.

Szczególnie zainteresowanie zwiedzających budziły piękne naczynia kościelne, bardzo praktyczny ołtarz przenośny i wielki dzwon kościelny.

Następnego dnia po otwarciu wystawy zaszczyciły filię swemi odwiedzinami I. K. W. Księżniczki bawarskie.

Wystawa trwała do dnia 25 marca.

Porwane dziecko.

W. O. Torrend T. J., przytacza następujące zdarzenie, zdolne poruszyć serca naszych Czytelników i pozyskać je dla dzielnego katechisty, Franciszka Borji, bohatera tego opowiadania.

W promieniu dziewięciu mil mamy tutaj cztery wioski, tworzące jakoby jedną wielką osadę. Opatrzność Boża zdaje się niejako potrzebować tu dla swych celów katechisty i to katechisty dzielnego. Ale, aby przeznaczyć jakiejś osadzie katechistę, trzeba czekać, aż dostarczy ona niezbędnych na to środków. Chcecie, bym Wam opowiedział, jak poczęła sobie Opatrzność, by wskazać człowieka, którego pragnie mieć na tem stanowisku, to posłuchajcie.

W roku 1905, gdy przejeżdżałem przez Feirę, udając się z Miruru do Buluwayo, spotkałem tam siedemnastoletniego czarnego młodzieńca, dawnego mego ucznia z Miruru, którego znałem jako gorliwego chrześcijanina. Nazywał się on Francisco Borja, i był właśnie zajęty jako rachmistrz pewnego włoskiego kupca. Gdy tylko mnie spostrzegł, przystąpił do mnie z prośbą:

— Ojcze, pozwól mi iść ze sobą!

— Mój chłopcze — odpowiewiedziałem mu — pozostań na twem stanowisku; zarabiasz tutaj cośkolwiek, a ja nie mam pieniędzy, nie wiem nawet dokąd się udaję. Na razie jestem w drodze do Buluwayo, ale coś mi się zdaje, że tam otrzymam polecenie wyruszenia dalej, dla otwarcia jakiejś nowej misyi w okręgu Kafubue; skądże wezmę pieniędzy, aby cię opłacać?

— Nie zależy mi wcale na pieniądzach — odpowiedział na to Francisco — chcę iść za tobą, Ojcze, dokąd pójdziesz.

Zabroniłem mu wówczas wprost wyruszania za mną. Zaledwie jednak przebyłem Zambezę, aż tu widzę przed sobą znowu mego Francisca, powtarzającego, jak wpierw: „Chcę iść za tobą wszędzie, dokąd się udasz.“ Musiałem więc zgodzić się na to, żeby towarzyszył mi do Salisbury, a stamtąd do Buluwayo, wreszcie z Buluwayo do Chikuni koło Monzy.

Tu Francisco służył mnie i O. Moreau za kucharza. Następnie towarzyszył mi wraz z trzema chłopcami, pomagającymi mu nieść moje rzeczy, w wycieczce, mającej na celu zbadanie okolicy na północ od Kafubue. W ciągu tej podróży, mogę śmiało powiedzieć, że Francisco uratował mi życie. Było to na pustyni, gdzie zbłądziliśmy, nie mając ani kropli wody. Cały nasz zapas żywności pierwszej nocy, którą nam przyszło tam przebyć, składał się z rybek, złowionych dnia poprzedniego; upiekliśmy je więc na węglach i pokrzepiliśmy się niemi, ale pokarm ten nie uśmierzył dręczącego nas pragnienia. Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyliśmy w stronę, gdzie, we-

dle przypuszczeń naszych, znajdować się miał strumień, ale stanąwszy u celu, ujrzeliśmy wyschłe tylko łożysko; próżne było żłobienie dna jego, ani śladu wilgoci!

Pragnienie trawiło nas. Około południa usłyszeliśmy świergot ptaka, znanego jako poszukiwacza miodu. Poszliśmy jego śladem i nie zawiodła nas nadzieja. Ptak ten doprowadził nas do zeschłego drzewa, w którego dziupli znajdowało się nieco miodu, ale zaostrzyło to jeszcze bardziej nasze pragnienie, zamiast je ukoić. Powróciłem więc do łożyska strumienia i położyłem się pod drzewem, postanawiając czekać, aż słońce przestanie palić swym żarem z taką siłą, by wyruszyć dalej. Francisco jednak nie chciał iść za moim przykładem i przedsięwziął na własną rękę badanie pustynnej okolicy. Około godziny trzeciej po południu powrócił z oznajmieniem, że znalazł miejsce, odległe mniej więcej o godzinę drogi, gdzie rosło trochę zielonej trawy. Poczęliśmy z trudnością wlec się we wskazanym przez niego kierunku i gdy ostatni stanąłem u celu, zobaczyłem, jak Francisco, wyżłobiwszy w ziemi dół około dwóch stóp głęboki, wydobywał zeń wilgotny piasek. Niebawem ukazała się też i woda. Byliśmy ocaleni.

W Kafubu natrafiłem na pierwszy wagon, który z tej miejscowości udawał się na północ. Wagon ten przewoził pakunki kilku kamieniarzy i murarzy pochodzących z Austryi, którzy udawali się do Moomboski, gdzie mieli rozpoczynać budowę mostu. Spotkałem tam także Van Riet'a, znanego konduktora wagonów kilku z naszych Ojców przed dwudziestu laty, który spadłszy z drzewa, leżał pod niem jak martwy przez dwa tygodnie; gdy przyszedł do siebie, spostrzegł, że zabłądził w pustyni i przebył tak jeszcze 27 dni, żywiąc się jaszczurkami i dzikiemi jagodami. Obaj z Van Riet'em prosiliśmy murarzy, aby pozwolili nam złożyć rzeczy w wagonie. „Ależ oczywiście — odpowiedzieli — natychmiast służymy wam z całą przyjemnością.“ Od tej chwili podróż nasza stała się łatwą.

Po pięciu dniach dalszej drogi pieszo, przybyliśmy do Musabula, jednej z czterech wiosek, o których wyżej wspomniałem. Natychmiast cała ludność zgromadziła się koło mnie, poprostu dlatego, że niewielu dotąd białych nawiedziło tę okolicę, a szczególnie ponieważ byłem pierwszym człowiekiem białym, który mówił ich językiem. Zaśpiewałem im tedy ładną pieśń, której nauczyło mnie jedno z dzieci w Miruru; słów jej nie rozumiałem nawet dobrze. Okazało się, że był to niejako narodowy śpiew tego kraju. Okoliczności tej zawdzięczałem tryumf, z którego korzystając, oświadczyłem obecnym, że mam zamiar osiedlić się wśród nich kiedyś i nauczać ich prawd Boskich. Zamiar ten został tak przychylnie przyjęty, że gdy około godziny 5 po południu, konduktor wagonu przy-

szedł mi oznajmić, iż z powodu światła księżyca chce natychmiast w dalszą wyruszyć drogę, powiedziałem mu: jedźcie beze mnie, bo ja tu zostaję, pragnę zbadać brzegi Ngerery, która, jak powiadają, płynie tu w pobliżu. Wagon odjechał. Poprosiłem wówczas zgromadzonych o chwilę spokoju, abym mógł odmówić mój brewiarz. Usunęli się więc i rozpoczęli pogawędkę z Franciszkiem. Wkrótce przerwałem jednak odmawianie brewiarza i począłem przysłuchiwać się ich rozmowie.

— Twój brat — mówił Francisco — nazywa się Mutemansenga i powiadasz, że jest kapitanem w Mandala?

— Tak, ale dlaczego pytasz mnie o to?

— Bo pamiętam, że za moich lat dziecinnych nazywano mego ojca także Mutemansenga. Dziwnem mi się to wydaje, myślałem, że imię to przywiązane do naszej rodziny.

— A jak się nazywa żona twego brata?

— Zowie się Sayizi.

— Tak właśnie nazywała się moja matka.

— A jakież ty sam masz imię?

— Nazywam się Francisco Borja. Jak byłem mały, nazywano mnie Sungue!

— Jak to Sungue?... A gdzieżeś się ty urodził?

— Nie wiem. Wiem tylko, że kiedy byłem mały, ludzie z Kanyemby, którzy właśnie wtedy wojowali, wzięli mnie wraz z moją matką i uprowadzili daleko od mego kraju, aż w okolice Zumbo. Matka moja znikła gdzieś w czasie tej podróży.

Na te słowa, murzyn rozmawiający z Franciszkiem, nagle powstał.

— A więc ty jesteś moim synem, jesteś tym samym Sungue, którego ludzie z Kanyemby nam ukradli. Zaraz to powiem twojej matce.

Mówiąc matka, człowiek ten rozumiał ciotka, bo w tych okolicach matka i ciotka to jedno i to samo. Natychmiast pobiegł on do swej chaty, pozostawiając Franciszka zalanego łzami. W kilka minut później ukazał się na progu mówiąc:

— Sungue chodź, matka twoja cię woła.

Zaraz potem gromada mężczyzn i kobiet złożyła u mych nóg kurę i koszyczek mąki.

W ten sposób przywiodłem do nich dziecko, które utracili przed dwunastu laty.

Jednocześnie przeraźliwy krzyk, będący objawem wdzięczności, a właściwy Afrykanom, wzniósł się ze wszystkich ust ku niebu.

Nie potrzebuję Wam mówić, że skorzystałem z tej sposobności, aby wskazać obecnym, jak to Opatrzność Boska nie opuszcza nigdy tych, którzy Jej nie opuszczają.

W kilka chwil później przyniesiono mi bilet z wagonu, a na nim wyczytałem te słowa: „Ojcze, ubiliśmy dwa raony,

mięso ich należy do ciebie; poślij kogo po nie natychmiast.“ (Raon jest gatunkiem antylopy, dochodzącej do wielkości wołu). W ten sposób Opatrzność Boska na uwieńczenie swego dzieła zsyłała nam jeszcze ten dar, abyśmy mogli godnie uczcić powrót zgubionego dziecka.

Nazajutrz dotarliśmy do Nguerre, to jest do miejsca, w którem przebywam teraz. W chwili obecnej Francisco jest w Miruru, gdzie udał się trzy lata temu, aby poślubić chrześcijankę, z którą był zaręczony jeszcze wówczas, gdy ja tam mieszkałem. Od czasu do czasu pisuje do mnie.

I powiedźcież mi, czy mylę się, że Opatrzność Boża jasno daje do poznania, iż potrzeba Jej katechisty w Musabuli i że tego katechistę wybrała już sama? Byłem tam przedwczoraj i już nietylko samo Musabula, w którem obecnie przebywa ojciec Franciszka, ale także okoliczne wioski dopominają się o udzielanie im nauki wiary św., jako czegoś, co im się należy. Ale, niestety, nie mogę tam utworzyć posady katechisty, nie mając środków dostatecznych choćby tylko na zakupno lub wzięcia w dzierżawę hektaru ziemi od administracyi, zastrzeżono bowiem, iż żaden biały osiedlać się nie może w obrębie tego gruntu inaczej, jak za opłatą roczną znacznej sumy pieniężnej.

Poprzestaję, drodzy Czytelnicy, na tym jednym fakcie, z którego przekonać się możecie, ile dobrego dałoby się zdziałać w naszej okolicy, gdybyśmy mieli stałe placówki katechistów po wsiach. Co jednak z trudnością przyszłoby się Wam wyobrazić, to — *ilość* tych placówek tu potrzebnych.

ODPUSTY ZUPEŁNE,

których w m a j u dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

1 maja *w uroczystość św. Apostołów Filipa i Jakóba.*

26 maja *w uroczystość Zesłania Ducha Św.*

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 1 kwietnia 1912.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: ***Zofia Popielówna.***

W Krakowie. — Drukarnia „Czasu“ pod zarządem A. Świerzyńskiego.